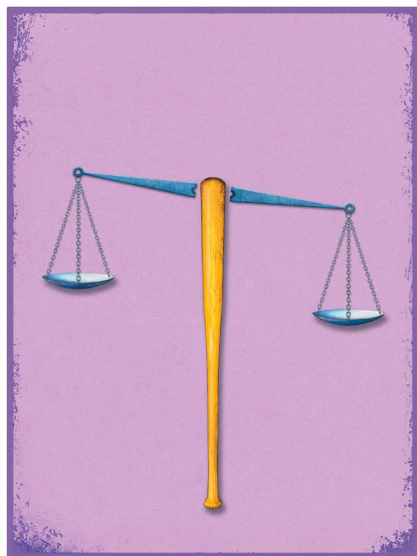




16 Bezprawne
prawo



34 Koniec szkolnych
lekcji religii?



100 Miasta
na wodzie

Tematy tygodnia

- 12** Anna Dąbrowska
Sprawa Banasia
16 Ewa Siedlecka
Bezkarna władza

Polityka

- 20** Rafał Kalukin
Z kampanią po kraju
24 OGŁĄD I POGLĄD Piotr Trudnowski
Zagadka frekwencyjna
26 Ewa Wilk **Po co te wiece**

Społeczeństwo

- 30** Marcin Kołodziejczyk
Lublin – miasto frontowe
34 Joanna Podgórska
Wymarsz z katechezy
36 Marta Mazuś
**Depilacja, hybryda, makijaż...
– zabiegi nastolatek**
39 Magdalena Gruszczyńska
Nowy zawód – petsitter

Rynek

- 42** Adam Grzeszak
Dlaczego upadł Thomas Cook
45 Joanna Solska
Państwo wraca do firm

Świat

- 48** Jakub Krupa WIELKA BRYTANIA
Co dalej z polskimi emigrantami?
51 Łukasz Wójcik
Kłopot z Zielonym Łądem
54 Grzegorz Rzeczkowski ROSJA
Amerkański szpieg na Kremlu
56 Miłosz Szymański MOŁDAWIA
**Dziś wyjeżdża stąd
100 osób dziennie**

Historia

- 60** Magdalena Semczyszyn **Kampanie
wyborcze w dawnej Galicji**
63 Tomasz Nałęcz
**„Piłsudski” i „Legiony”:
dwa oblicza polityki historycznej**

Nauka

- 66** Andrzej Hołdys **Hipoteza Gai
według Lovelocka**
69 NIE/PRAWDA, ŻE
Przegląd odkryć i przykrzyć
70 Sławomir Tumański **Kuriozalna
punktacja czasopism naukowych**

Ludzie i style

- 74** Marcin Piątek **Mała Borussia
w Goczałkowicach-Zdroju**

Kultura

- 82** Jakub Demiańczuk
**Joker – uosobienie
naszych lęków**
85 Jakub Knera
**Solidarność
na scenie klubowej**
88 Rozmowa z poetą **Adamem
Zagajewskim**, który właśnie
wydał tom „Prawdziwe życie”
91 Rozmowa z **Wilhelmem
Sasnałem**, malarzem i filmowcem,
o sukcesie i potrzebie dystansu
94 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 100** Edwin Bendyk
Zgoda z wodą

Stałe rubryki

- **4** Mleczko
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **78** Afisz
- **95** Passent
- **96** Stomma
- **97** Tym
- **98** Do i od redakcji
- **99** Fusy
- **106** Polityka i obyczaje



Z ŻYCIA SFER

Państwo to ja

Chwalmu arcybiskupa! Krakowski hierarcha abp Marek Jędraszewski postanowił poważnie potraktować zasadę rozdziału Kościoła i państwa. Stwierdził, że prawo pracy to sobie może obowiązywać w państwowych instytucjach, ale nie w jego kurii. Jak chce zwolnić pracującą na śmieciowej umowie samotne matki wychowującą adoptowane dzieci, to je zwolni i niech państwo się mu nie wtrąca (o „godności pracy” wiele miał kiedyś do powiedzenia Jan Paweł II, ale przecież nie chodziło o konkretną pracę w jakiejś kurii, tylko o piękną ideę).

Ignorowanie prawa państwowego wspiera abp Leszek Sławoj Głódź, który bez żenady skorzystał (łamiąc prawo z udziałem komendy miejskiej) z przejazdu radiowozem na sygnale na trasie Gdańsk-Jurata, bo chciał wpaść do prezydenta, a na drogach były wakacyjne korki. No, ale najważniejsze, że dojechał bezpiecznie. Skoro już mowa o etyce albo tylko jej okolicach. Pan prezydent, który z taką gracją potrafi schwytać porwaną wiatrem hostię, nie chwytą w lot, że niektórych ludzi nie wypada publicznie chwalić. Po ostatniej wizycie w USA prezydent Duda powiedział w TVP: „Trump jest rzeczywiście człowiekiem sympatycznym, ja go osobiście bardzo lubię, bo to jest taki człowiek ciepły”. Zapewniał też: „Nie mamy właściwie takich tematów, w których nie mielibyśmy wspólnego stanowiska”. Doprawdy? Czy również w kwestii sposobu traktowania kobiet? Rozdzielania dzieci od rodziców imigrantów? Dostępu do broni? W kontekście tego, że dziennikarze „Washington Post”

przyłapali Trumpa na ponad 12 tys. kłamstw i przekłamań od początku prezydentury, słabo brzmi zdanie: „Ja bardzo lubię słuchać też opinii pana prezydenta Donalda Trumpa na różne kwestie związane z wielką polityką światową”. Godna pozazdroszczenia łatwość rozdzielania realizowanych od deklarowanych katolickich wartości.

Za to prezes PiS nie rozdziela siebie od państwa w ogóle. O zajmowaniu się deweloperką w imieniu spółki Srebrna w czasie godzin pracy posła Kaczyńskiego napisano już dosyć. Ostatnio przy okazji obiecywania podwyżek płacy minimalnej prezes PiS wyjaśniał krytykom tego pomysłu: „Wczoraj wieczorem mogłem rozmawiać z prezesem banku narodowego, on mi przedstawił takie pierwsze szacunki, czy to jakoś wpłynie źle na gospodarkę. Nic z tych rzeczy”. Ciekawie skomentował to sam Adam Glapiński: „Ja się nie spotykam z liderami partii politycznych w żadnym wypadku, natomiast z prezesem Kaczyńskim od dobrych 30, 40 lat bywa, że się spotykamy”. No i akurat się spotkali. Prezes NBP trochę się jednak zdystansował: „Trudno mówić o formalnych projekcjach czy ocenach, bo te przedstawiamy w projekcji inflacji”. Na pociechę jako państwowiec dodał, że jeżeli „przewodniczący Schetyna chciałby przyjść do banku i o czymś porozmawiać, oczywiście, można się normalną drogą zapisać”. Prezes Kaczyński zapisywać się nie musi. Całym sobą mówi: „Państwo to ja”.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK



BYTOM

NA STYKU KRAWIECTWA I FILMU

JAN FRYCZ I KAMIL NOŻYŃSKI

[Kup książkę](#)

Mocniej na koniec



Jerzy Baczyński

Tuż przed wyborami sondaże zgodnie przewidują zwycięstwo PiS, z wynikiem między 40 a 45 proc., ale wciąż nie odbierają opozycji szansy na remis, a nawet na paropunktową przewagę. Będzie decydował podział głosów wśród jeszcze niezdecydowanych oraz poziom i rozkład frekwencji, ściślej – gdzie, w sensie socjologicznym i geograficznym, nastąpi większa mobilizacja elektoratów (piszemy o tym szerzej na s. 24). To zapowiada ostrą końcówkę kampanii i polityczną nerwowość zapewne aż do ogłoszenia oficjalnych wyników przez PKW. Fakt, że nadal nie jest pewne, czy po wyborach PiS utrzyma władzę, już trzeba uznać za spory sukces opozycji – z tym że bardziej opozycyjnych wyborców niż partii.

Kampanię wyborczą, według prostych marketingowych kryteriów, zdecydowanie wygrał PiS i gdyby traktować ją jak casting, w którym na końcu publiczność głosuje na lepszego performerą, bogatszy show czy zabawniejsze iluzje, to PiS powinien zwyciężyć 80:20. Skala zaangażowanych po stronie PiS środków, także publicznych, rozmach konwencji (s. 26), dyscyplina partyjnych kadr, mobilizacja aparatu państwowego, wykorzystanie kontrolowanych mediów do agresywnej akcji propagandowej itp. – wszystko to potwierdza jedynie, że już w tych wyborach osiągnęliśmy stan głębokiej nierównowagi sił między władzą i opozycją. Każę też podejrzewać, że ewentualne zwycięstwo PiS jedynie pogłębi tę dysproporcję w przyszłości. Zresztą sam prezes Kaczyński coraz śmielej snuje plany na następne dwie-trzy kadencje. I trzeba mu wierzyć: październikowe wybory mogą być ostatnie (na długie lata), w których da się jeszcze wygrać z PiS.

Opozycja – choć podział na trzy bloki raczej jej wyszedł na dobre – prowadziła kampanię skromną, oszczędną, bez specjalnego wigoru i entuzjazmu. Ostatnio pojeździliśmy trochę w teren za kandydatami KO (s. 20); nie można powiedzieć – starają się; Małgorzata Kidawę-Błońska coraz lepiej radzi sobie w roli liderki, inni też robią, co mogą, ale problemem jawi się ogólne znudzenie wyborców, pozamykanie we własnych poglądach, wyrobionych przekonaaniach. Zwolennicy PiS są wobec wszelkich głosów „z tamtej strony” nieufni, często agresywni, nabuzowani przekazami TVP, ale też sympatycy opozycji jakby niespecjalnie potrzebowali dodatkowych argumentów, kampanijnych obietnic i umizgów. Odnośnomy wrzenie, że obecna kampania, przy pozorach intensywności, ostrości języka, licytacji na obietnice, jest dziwnie rutynowa, piarowska, nie ma ducha, nawet zaskakująco mało emocji. Po 4 latach politycznych napięć, konfliktów, afer, codziennej szarpaniny wszyscy jako tako zainteresowani polityką już wiedzą swoje i jeśli czegoś jeszcze oczekują, to finału, przesilenia. I dotyczy to w równym stopniu elektoratów PiS, jak i opozycji.

Sondaże (a jest ich ostatnio wysyp) sugerują zresztą, że przekonania opozycyjne są znacznie silniejsze i mocniej ugruntowane niż poparcie dla partii opozycyjnych. A największą determinację, aby wziąć udział w głosowaniu (IBRIS dla „Rz”) wykazują elektoraty KO i Lewicy, choć jednocześnie bardzo krytycznie oceniają kampanie swoich formacji. W tych wyborach, co jest w sumie dobrą wiadomością dla opozycji, jakość samej kampanii jest drugorzędna. Żadne promocyjne hasła i zabiegi nie

wzmacniają obozu opozycji demokratycznej tak, jak czyni to sam PiS. Sprawa prezesa Banasia jest tego kolejnym dowodem.

Jeśli nie należy się do obozu zagorzałych zwolenników PiS, sens tej afery jest oczywisty. Najmniej chodzi o związki prominentnego działacza partii rządzącej z sutenerami, bardziej o to, że nagle – jak po zapaleniu latarki – widać zarys całej budowli wznoszonej przez Jarosława Kaczyńskiego. Jednym z głównych filarów tej konstrukcji jest ustrojowo gwarantowana bezkarność ludzi władzy, takie zapętlenie ścieżek, aby każda sprawa przeciw kadrom PiS trafiała na biurka nominatów PiS. (Pisze o tym Ewa Siedlecka w poruszającym oświadczeniu artykule na s. 16).

Opozycja w swoich ostatnich słowach na koniec kampanii – mimo przyjęcia przez Małgorzatę Kidawę-Błońską koncyliacyjnej retoryki – absolutnie nie powinna zamazywać zagrożeń, jakim dla prawa, sprawiedliwości i wolności obywateli byłoby utrwalenie się niekontrolowanej władzy PiS, pozbawionej systemowych i etycznych hamulców. Podstawową wyborczą obietnicą opozycji jest dziś – bardziej niż ulgi w ZUS, PIT czy niejasne plany naprawy służby zdrowia – zatrzymanie PiS, zakłócenie procesu zawłaszczania państwa, zahamowanie procedury podsycania społecznych napięć i konfliktów, zablokowanie – jasno zapowiadanej w programie PiS – rozprawy z niezależnymi sądami, wolną prasą, samorządami, zbuntowanymi środowiskami. W ogóle te ostatnie słowa w kampanii będą ważne, choćby dlatego, aby wyborcy opozycji szli do głosowania z przekonaniem, że nie wybierają tylko mniejszego zła, ale jasny system wartości, rządu prawa (a nie, jak ktoś ładnie powiedział, „przy użyciu prawa”), że bronią także własnych zyciorysów i dorobku, historycznego (mimo rozmaitych błędów) sukcesu Polski minionych 30 lat. Trzeba jeszcze raz powtarzać, że, wbrew opowieściom PiS, hojność świadczeń socjalnych nie uzasadnia psucia państwa i łamania konstytucji.

Jarosław Kaczyński, nie niepokojony polemiką, opowiadał przez całą kampanię swoje coraz dziwniejsze historiozoficzne teorie; tajemnicą ludzi PSL, PO, SLD, którzy od początku współtworzyli III RP, pozostaje, jak mogli tak gładko lykać opowieści o zdradzie Okrągłego Stołu, klęsce rządu Mazowieckiego i planu Balcerowicza, doprowadzeniu Polski do ruiny, „mrokach Tuska”, wczesnym i późnym postkomunizmie, zdradzie elit, niemieckiej opcji Gdańska, nihilizmie moralnym milionów Polaków itd. Może na koniec kampanii warto, żeby opozycja, chociaż na chwilę, wywikłała się z licytacji na obietnice i zechciała jednak opowiedzieć swoją historię tych lat, wyjść z narzuconej przez PiS narracji wstydu za III Rzeczpospolitą. Nie chodzi już nawet o to, żeby skłonić jakichś nowych wyborców do głosowania na opozycję, ale żeby oddawanym głosom dodać siły, zdecydowania, pozytywnej emocji. Czego tak bardzo brakowało w tej kampanii.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZE

Trzynastka Schetyny

Malwina Dziedzic



Nie Małgorzata Kidawa-Błońska, ale **Klaudia Jachira** jest twarzą Koalicji Obywatelskiej. Taki obraz w końcowej fazie kampanii wyborczej próbują kreować usłudzy władzy dziennikarze oraz politycy PiS. Marginalizując wicemarszałek Sejmu – jedynekę na warszawskiej liście, kandydatkę największej partii opozycyjnej na premiera – i przeszacowując znaczenie młodej kontrowersyjnej youtuberki: absolwentki PWST, 13-ki na tej samej liście KO. Jachira wedle pisowskich przekazów przepuszczanych przez TVP utożsamia „Platformę nienawiści”. Takim zresztą hasłem – z przerobionym logo PO – opatruje się materiały atakujące Krzysztofa Brejzę i jego rodzinę (za rzekome stworzenie „farmy trolli” w inowrocławskim ratuszu) oraz Rafała Trzaskowskiego (za zatrudnienie w Urzędzie Miasta administratora fejsbukowej strony SokzBuraka, publikującej szydzące z rządzących memy). I choć obu polityków – jak przyznają ich koledzy z Platformy – PiS-owi udało się zaszczyć, to jednak przekaz, że oto Brejza i Trzaskowski stoją za jakąś kolejną aferą hejterską, okazał się zupełnie niewiarygodny. A intencje – czyli gorączkowa próba przykrycia koordynowanej na najwyższych szczeblach Ministerstwa Sprawiedliwości akcji nękania sędziów – zbyt czytelne.

Inaczej jest z Klaudią Jachirą, która z balansowania na granicy dobrego smaku uczyniła swój sposób na zaistnienie gdzieś na styku polityki i show-biznesu. Zgodnie ze starą piarowską zasadą: „nieważne, jak mówią, ważne, żeby poprawnie nazwisko pisali”. I nową: a także klikali (co zresztą jej się udaje – według Google Trends w ostatnim tygodniu zainteresowanie Jachirą było zdecydowanie większe niż Kidawą-Błońską). Ten raczej niskich lotów kabaret obśmiewa państwo

na modłę PiS: z kultem smoleńskim i „cesarzem” Kaczyńskim, oraz narodowo-katolickie świętości. Jachira traci miarę, pozując na tle pomnika AK obok uczestniczek Młodzieżowego Strajku Klimatycznego z transparentem „Bób, Hummus, Włoszczyzna” czy szydząc z katastrofy smoleńskiej, ale też sama jest brutalnie atakowana – ostatnio na antenie TVP Info Jan Pietrzak nazwał ją „wynajętą zdziurą”.

Liderzy KO, ze Schetyną, Kidawą-Błońską i Lubnauer na czele, odcięli się od „satyrycznej” działalności swojej kandydatki, skreślić z listy jednak jej nie mogą – takie są przepisy. Jachira, która już w 2015 r. próbowała dostać się do Sejmu (z listy Nowoczesnej), znalazła się na liście KO, ponieważ partyjni działacze „szukają linków” z młodymi, którzy zupełnie inaczej konsumują media: na ogół nie czytają prasy, nie oglądają telewizji, a informacji i rozrywki szukają na portalach społecznościowych. Starsi politycy może nie zawsze rozumieją dlaczego, za to przekonuje ich argument politycznych marketingowców, że „Jachira robi zasięgi”. Pytanie tylko, czy klikający te zasięgi młodzi ludzie w ogóle będą uczestniczyć w tak anachronicznym akcie, jakim jest akt wyborczy?

Jest jeszcze jeden szkopuł: takiego słabego punktu pisowscy spin doktorzy właśnie szukali. Bo nie chodzi przecież o to, aby jedynie utwardzać własny, już dawno zindoktrynowany, elektorat, ale poszerzać wyborczą bazę o głosy wahających się (tzw. swingujących) oraz demobilizować labilnych i mniej zaangażowanych wyborców przeciwnej strony. A także odrywać uwagę opinii publicznej od rzeczywistych skandali uderzających w obóz władzy. Zuchwałość Jachiry i przerysowane – w dodatku na bieżąco dokumentowane w mediach społecznościowych – poczucie humoru ułatwiają pisowskiej machinie propagandowej lepienie karykaturalnego, agresywnego wizerunku Koalicji (z „nowym Palikotem”). Ten przekaz pada na podatny grunt, skoro nawet lider PSL uważa, że: „Symbolem hejtu stała się Klaudia Jachira”. Dziwi tylko, że symetryzującym moralistom po tzw. demokratycznej stronie wystarczy jedna youtuberka, aby przykryć wysoki Tarczyński, Pawłowicz, antysemicki teatrzyk Barbary Pielni emitowany przez TVP, „hersztę” Piebiaka czy nienawistne wpisy szczecińskiego radnego Dariusza Mateckiego, który zresztą także ubiega się o miejsce w Sejmie.

Bunt dzieci

Ewa Wilk

Szesnastoletnia **Greta Thunberg**. Jej mowa na forum ONZ, a potem twitterowy dialog z Donaldem Trumpem rozgrzał pióra zawodowych i amatorskich komentatorów (w tym hejterów) na całym świecie. W Polsce roztrajkotała się zwłaszcza strona konserwatywna, w tonie patriarchalnej troski – że poszłaby do szkoły smarkula, że sterowana przez wyznawców lewackiej „ideologii klimatyzmu” (podobno jeszcze bardziej zbrodniczej niż „tęczowa zaraza”), a w ogóle gdzie są jej rodzice, bo to przecież biedne, chore dziecko.

Gdyby Greta nie była dotknięta zespołem Aspergera, tą neuronalną odmiennością, gdy wysokiemu poziomowi intelektualnemu towarzyszy prostolinijność i niekonwencjonalność zachowań (trudna niekiedy do akceptacji przez tzw. normalnych ludzi), prawdopodobnie nie zostałaby tym, kim jest. Byłaby zbyt skuta konwencjonalnym rozumieniem tego, co wolno nastolatce, by usiąść samotnie we wrześniu 2018 r. przed gmachem szwedzkiego parlamentu w obronie Ziemi, a teraz rzucić możliwym tego świata w oczy: szykujecie naszemu pokoleniu klimatyczne piekło. Tak myśli coraz większa część młodzieży. To sprzeciw wobec pozornego rajy zagraconego plastikiem, dławiącego



się dymem z węgla i spalinami z ropy; wobec dobrobytu zafolowanego na supermarketowych tackach. To bunt przeciw edenowi, w którym jedynym sensem stała się wyniszczająca harówka w pogoni za PKB, co umożliwia jeszcze większą produkcję i konsumpcję. To zataczający coraz szersze kręgi rokosz dzieciaków przeciw śmiecionośnej gospodarce, która staje się śmiercionośna. Przeciw stylowi życia, podporządkowanemu choremu, cynicznie rozbudzonym materialnym aspiracjom, drapieżnemu „mieć”.

Nieprawda, że dzieci nie mają głosu. Bunt przeciw niesprawiedliwościom, wzmożenie moralne, alergię na zakłamanie, egoizm, wygodnictwo, krótkowzroczność dorosłych są immanentną cechą wieku adolescencji. 16 lat życia wystarczy, by martwić się o świat. To dzięki dzieciom kwiatom w XX w. nastąpiła rewolucja obyczajowa. To studenci stają regularnie na całym świecie naprzeciw policyjnym kordonów w obronie wolności człowieka, wolności myśli i słowa. Bez „dzieci” nie nastąpiłby żaden społeczny ani polityczny postęp.

Władza skonfrontowana z „dziećmi” zawsze sięga do tego samego arsenału: umniejszyć, ośmieszyć, zniechęcić, zastraszyć, wymusić posłuch i dyscyplinę, zagnać do szeregu karnie maszerującego na szkolne akademie. Znamienne, że obecnie rządzący w Polsce nie czynią tego wobec tych, których adolescencja manifestuje się w przemarszach pod rasistowskimi, szowinistycznymi, homofobicznymi hasłami, w brutalnych atakach na wszelkich „innych”, w pospolitej przemocy, wulgarnych wyzwiskach. Konserwatywni komentatorzy i hejterzy nie mówią o nich biedne, zagubione, sterowane ideologicznie dzieci.

„Dziecko” Greta się obroni. Zainicjowała coś, co się rozprzestrzeni: Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. Takich jak ona są już miliony.



Wartości nieromantyczne

Czy liberalizm rzeczywiście nic świata nie dał, oprócz ciepłej wody w kranie?

Wiem, że się powtarzam, ale, wierzcie mi Państwo, mam w tym swój cel: właśnie dlatego, że liberalizm nie ma od jakiegoś czasu dobrej prasy, ja wzięłam sobie za zadanie uparcie o nim przypominać. Nie lubi go prawica, nie lubi go lewica. Nierzadko lewicowi i prawicowi krytycy liberalizmu mówią jednym głosem: że jest nijaki, niewyrazisty, bezpoglądowy i w całości oparty na zgniłych kompromisach. Że fetyszyzuje tak zwany konsens, wypierając ze sfery publicznej prawdziwą walkę polityczną opartą na sztywnym podziale wróg–przyjaciel. Że w świecie polityki tożsamości, gdzie coraz bardziej liczą się mocne identyfikacje – z plemieniem, narodem, religią, ale też mniej tradycyjnie: z własną seksualnością czy kolorem skóry – nie dostarcza języka, w którym wybrana tożsamość mogłaby się wyrazić. Że jest politycznie nudny i nie inspirowany. Że gospodarczo jest zachowawczy i powtarza swoją mantrę, iż dla kapitalizmu nie ma alternatywy, czyli w skrócie doktrynę TINY (od „There is no alternative”). Że nic świata nie dał, oprócz ciepłej wody w kranie. Czyli, po prostu, że jest wypłukany z wszelkich wartości.

Ostatnio w „Gazecie Świątecznej” (21 września) Marcin Król, skądinąd konserwatysta liberalny, napisał trafnie o problemach, jakie dziś napotyka liberalizm: w dobie polityki tożsamości nie jest to światopogląd, z którego można by wysnuć jakąś jedną przekonującą opowieść. Stąd, zdaniem Króla, ponowna atrakcyjność romantyzmu, który w polskiej kulturze stanowi wciąż żywe źródło narracji patriotycznej. Tymczasem źródło liberalne wysycha. Pytanie jednak, czy dzieje się tak dlatego, że liberalizm nas zawiodł, czy raczej dlatego, że już wykonał swoją pracę, a teraz zapragnęliśmy czegoś więcej?

Wydaje mi się, że prawdziwsza jest druga opcja, zwłaszcza w krajach Zachodu, gdzie zdobycze liberalne traktowane są jak powietrze, którym się na co dzień oddycha, czyli oczywista oczywistość: nie pamięta się o niej i nikt się już o nią nie troszczy, póki jej nie zabraknie. Polska lubi imitować zachodnie trendy, ale akurat ten – potraktowanie osiągnięć cywilizacji liberalnej jako twardej i oczywistej danej – u nas okazuje się raczej zgubny. W Polsce bowiem tzw. liberalne minimum nie istnieje: idea, że jednostka posiada niezbywalne prawo do życia, wolności i własnego poszukiwania szczęścia, bynajmniej się nie zakorzeniła i wciąż jest kontestowana, głównie przez prawicowe narracje wspólnotowe. W Polsce zatem nie bardzo możemy pozwolić sobie na luksus traktowania liberalizmu jak powietrza na wzór naszych zachodnich sąsiadów, którym bardziej się w tym względzie poszczęściło.

Nawet jeśli liberalizm nas nudzi i nie porywa, nie ma rady – trzeba o niego walczyć. To wręcz test obywatelskiej dojrzałości: istotą nadchodzących wyborów nie jest bowiem wybór takiej czy innej tożsamości – patriotyczno-katolickiej czy lewicowo-postępowej – lecz przywrócenie liberalnego minimum. Przywrócenie pewnej ramy, kontekstu, politycznej matrycy, w której rozmaita polityka tożsamości i jej bardziej ekscytujące narracje będą mogły znów się umieścić, by jakoś ze sobą koegzystować. Inaczej bowiem czeka nas wojna: Hobbesowska wojna wszystkich ze wszystkimi, czyli powrót do dzikiego stanu natury.

Wydawałoby się, że to rzecz oczywista: apel, który powinien przemówić do rozsądku każdego odpowiedzialnego polskiego wyborcy. Do rozsądku tak, ale nie do serca. Na tym właśnie polega największy problem wartości liberalnych – od nauki elementarnej tolerancji po docenienie ciepłej wody w kranie – że są czysto racjonalne. Trudno zainwestować w nie pasję, intensywną emocję, poryw serca, zachwyt, czyli wszystkie te polityczne doznania, które ogarniają jednostkę w środku demonstrującego tłumu: zamiast wspólnotowego upojenia podsuwają trzeźwe i pragmatyczne racje.

Namiętności i liberalizm nigdy nie szły ze sobą dobrze w parze i najlepszym tego świadectwem były demonstracje KOD: wszystkie w słusznej sprawie, skupiające świadome siebie jednostki walczące o liberalne minimum, ale zdolne do tego, by to rozproszone skupisko jednostek przekształcić w polityczny tłum tylko wtedy, kiedy pojawiała się antypisowska agenda wywołująca silne negatywne emocje. To samo zresztą można powiedzieć o całej opozycyjnej Koalicji, zwłaszcza kiedy jeszcze szła w miarę zjednoczona. Jej obrona liberalnego minimum nie była w stanie w nikim wzbudzić żadnej namiętności, nawet jeśli wszyscy rozsądni obywatele uważali ją za słuszną. Dlatego też KO w powszechnym odbiorze stała się tylko antyPiSem, bo, jak zwykle, nikt nie dostrzegł, że walczy o powietrze. Z osobliwych psychopolitycznych powodów walka o podstawowe uprawnienia liberalne nikogo nie emocjonuje – także tych, którym te prawa są sukcesywnie odbierane.

Marcin Król słusznie wskazuje na opozycję liberalizm–romantyzm. Choć w obszarze anglosaskim nie ma ona aż takiego uzasadnienia (w końcu wielkim zwolennikiem poezji romantycznej był sam John Stuart Mill, a Michael Oakshott i Lionel Trilling wprost przyznawali się do „romantycznego liberalizmu”), to w Polsce jak najbardziej tak. To właśnie bowiem dziedzictwo romantyzmu nie pozwala Polakom dostrzec, że wartości liberalne, dzięki którym można dobrze urządzać społeczną kuchnię, są w ogóle wartościami, o jakie warto byłoby się bić. „Bić się czy nie bić?” – ten wzorcowy dylemat romantycznego Polaka wielkim łukiem omija przyziemne sprawy „kuchenne”, by zająć się tylko tym, co wielkie, podniebne i wzniosłe. Bo też w umyśle polskiego romantyka to, o co warto się bić, jest także tym, dla czego warto umrzeć. A kto chciałby umierać za skromną obietnicę dobrobytu i konsensualnego kompromisu, czyli za przysłowiową ciepłą wodę w kranie? Oczywiście – nikt.

Nie w tym rzecz jednak, by zacząć namawiać Polaków do proliberalnego heroizmu. To dopiero byłaby głupota. Rzecz w tym raczej, by pojąć, że są sprawy, o które jak najbardziej warto walczyć – nie po to jednak, by dla nich umierać, ale by dzięki nim żyć. Liberalizm może nie być wzniosłą ideą dla romantycznych radykałów, ale jest jednak kuchnią naszego społecznego życia i przeżycia; jest, jak zdrowie, koniecznym warunkiem wszelkiego dalszego funkcjonowania, także na niwie nowych ekscytujących idei. Dziś dobrze się więc sprawdza trzeźwa maksyma Kochanowskiego: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz”.



1 października 2019 r. w polskich uczelniach
i w instytutach rozpoczynają działalność **szkoły doktorskie.**

To przełom w kształceniu młodych naukowców.

Każdy doktorant w szkole doktorskiej otrzymuje
nieopodatkowane stypendium.

Szkoła doktorska to:

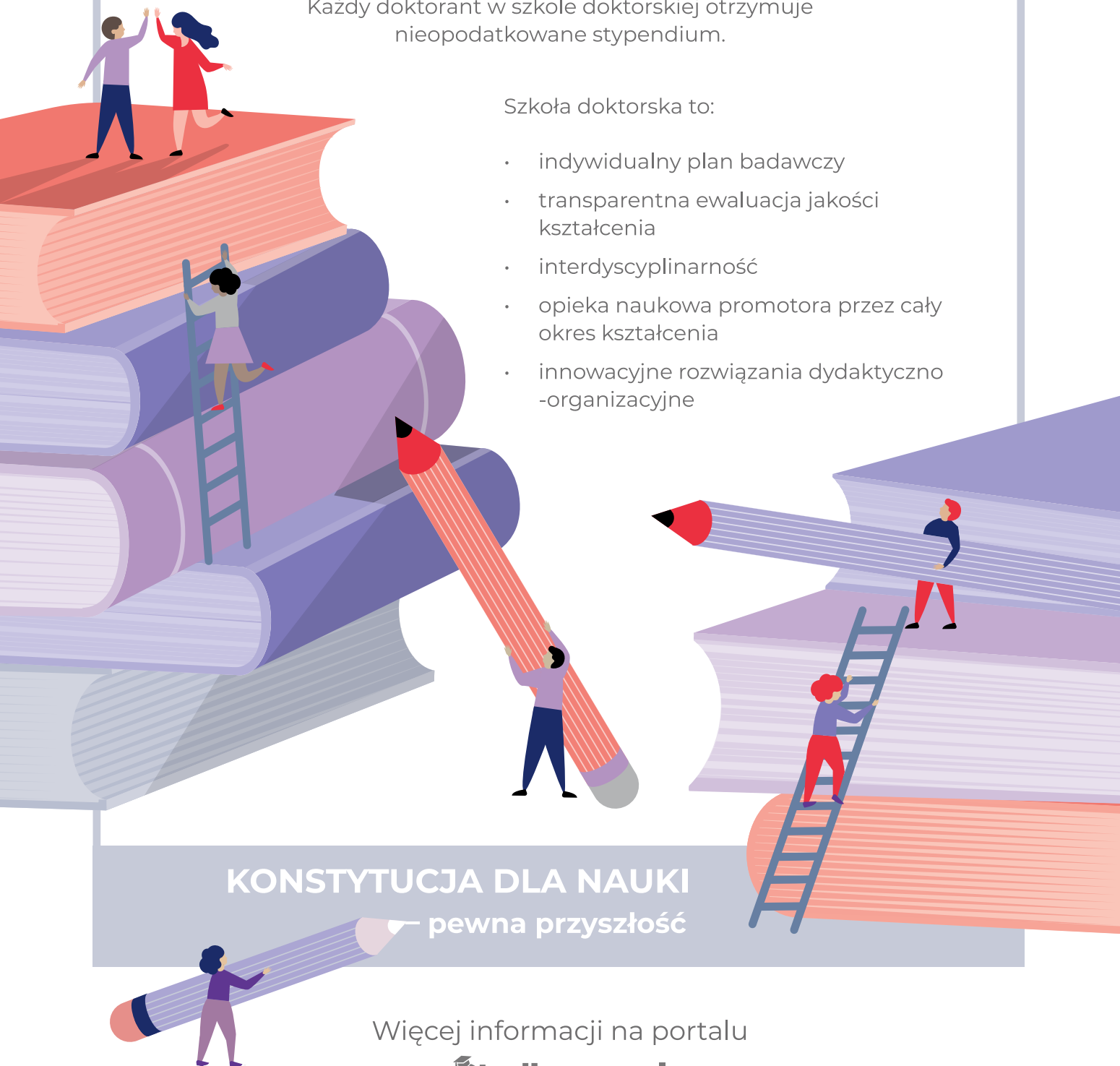
- indywidualny plan badawczy
- transparentna ewaluacja jakości kształcenia
- interdyscyplinarność
- opieka naukowa promotora przez cały okres kształcenia
- innowacyjne rozwiązania dydaktyczno-organizacyjne

KONSTYTUCJA DLA NAUKI
— pewna przyszłość

Więcej informacji na portalu

Studia.gov.pl

[Kup książkę](#)



KOMENTARZ

Pałacowy pucz?



Tomasz Zalewski

W polityce, jaką dotąd znaliśmy, sprawa wydaje się oczywista. Oto prezydent USA składa propozycję nie do odrzucenia prezydentowi Ukrainy: chcecie pomocy amerykańskiej, to pomóżcie mi zebrać haki na mojego rywala w przyszłorocznych wyborach. Wygląda to gorzej niż Watergate, gdy prezydent Richard Nixon nielegalnymi metodami też gromadził materiały przeciw oponentom, ale nie korzystał ze wsparcia zagranicy. Dlatego demokraci zainicjowali procedurę impeachmentu Donalda Trumpa, oskarżając go o rażące nadużycie władzy. Próbę podporządkowania bezpieczeństwa narodowego prywatnym interesom, z dodatkowym zarzutem utrudniania ewentualnego śledztwa, gdyż Biały Dom ukrył zapis rozmowy z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim na supertajnym serwerze. A Trump grozi informatorom sygnalisty, że potraktuje ich jak szpiegów.

Wynik tej konfrontacji stoi jednak pod znakiem zapytania. Ruch demokratów może się okazać samobójczy. Pojawiła się teza, że impeachment wręcz ułatwi Trumpowi reelekcję. Pomysł zdjęcia prezydenta z urzędu przez Kongres nie jest popularny – co najmniej połowa Amerykanów jest mu przeciwna. Nie przypadkiem o pozbawieniu go władzy musi zdecydować Senat większością dwóch trzecich głosów, czyli ponadpartyjnie. Umożliwia to republikanom odwracanie kota ogonem i przekonanie, że Trumpowi naprawdę chodziło o walkę z korupcją na Ukrainie, przykładem której miał być syn Joego Bidena, zatrudniony w oskarżanej o pranie pieniędzy firmie ukraińskiej – chociaż prokuratorzy tego kraju zapewniają, że nie zrobił nic złego.

Zbieżność impeachmentu z rozkręcającą się kampanią wyborczą sprawia, że tym łatwiej przedstawić go jako polityczną wendetę. Jeśli Trump zostanie przez Senat uniewinniony, na co się zanoszą, wystąpi w aurze obrońcy ludu przed atakiem elit. Tak może się to zakończyć. Ale nie musi. Według sondaży poparcie dla impeachmentu wzrosło po ujawnieniu skandalu i mur ochronny wokół Trumpa zaczyna pękać – pierwsi republikanie odwracają się od niego. Niewykluczone, że pucz pałacowy – skarga sygnalisty wspomaganego przez tzw. głębokie państwo, *deep state* – zamieni się w lawinę. Jednak by tak się stało, potrzeba więcej kompromitujących prezydenta szczegółów. Możliwe, że dostarczą ich zeznania urzędników Trumpa przed komisjami Izby Reprezentantów.



Duma z latania

Flygskam, flying shame, wstyd, że się lata samolotem, raczej nie dotarł jeszcze do Chin. Jest duma. W ramach bogatych obchodów 70-lecia ChRL przewodniczący Xi Jinping osobiście otworzył nowy pekiński **port lotniczy Daxing**, w południowej części aglomeracji, 46 km od placu Tiananmen. Stare stołeczne lotnisko Pekin, otwarte w 1958 r., dziś drugie po Atlancie co do liczby obsługiwanych pasażerów, pękało już w szwach, obsługując ponad 100 mln podróżnych. Daxing, lotnisko jednoterminalowe projektu gwiazdy architektury Zahy Hadid (zmarłej trzy lata temu), ma w 2025 r. (razem z lotniskiem stołecznym) obsługiwać 170 mln pasażerów. I wówczas Chiny, jeśli chodzi o rynek lotniczy, mają prześcignąć Stany Zjednoczone, a w okolicach 2038 r. mają przewozić 1,6 mld Chińczyków rocznie (czyli o miliard więcej niż dziś).

Nic dziwnego, że mając takie perspektywy, Daxing zaplanowano z wielkim rozmachem; chińskie media podają skalę w boiskach piłkarskich: teren lotniska ma powierzchnię 98 boisk, a sam ultranowoczesny dach, zapierający dech – 26 boisk. Do centrum, w 20 minut, zawiezie szybka kolej i metro. Gorzej z przesiadkami z samolotu na samolot. Wielkie lotniska mają podstawową wadę, jak pokazał nowy gigantyczny port lotniczy w Stambule: wędruje się po nich kilometrami. Nie są na ludzką skalę.

Śmierć jak w banku

Afera Danske Banku nie daje o sobie zapomnieć. A powód jest równie spektakularny jak 200 mld euro, które w latach 2007–15 przeprała estońska filia tego duńskiego banku na rzecz prominentnych Rosjan. Chodzi o tajemniczą śmierć Aivara Rehe, który w tamtym czasie stał na jej czele. 56-letni bankowiec kilka dni temu został znaleziony martwy w pobliżu swego domu na obrzeżach Tallina. Przypomina to inne zgony związane z aferą Danske Banku. Przede wszystkim zastępcy szefa rosyjskiego banku centralnego Andrieja Kozłowa, którego ktoś zastrzelił w Moskwie jesienią 2006 r. Kozłow znany był z nieprzejednanej postawy wobec brudnych pieniędzy. Przed śmiercią ostrzegł estońskie władze o podejranych rachunkach zarejestrowanych na firmy, przez które – jak się później okazało – przepłynęły sumy większe od PKB Estonii.

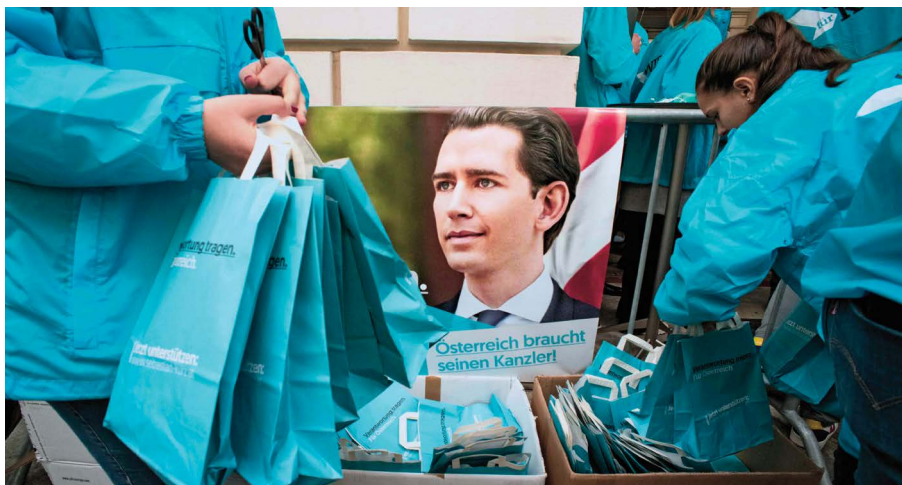
Królestwo Żółtej Góry

Wydłuża się kolejka chętnych na Bir Tawil, czyli 2 tys. górzystych km kw. na egipsko-sudańskim pograniczu, z niewyjaśnioną przynależnością państwową od przełomu XIX i XX w. Ani Sudan, ani Egipt nie są zainteresowane, wolą spierać się o dziesięciokrotnie większe terytorium dalej na wschód. To czyni Bir Tawil prawdopodobnie jedynym nadającym się do zamieszkania miejscem, do którego pretensji nie zgłasza żadne państwo. Przynajmniej istniejące, bo na terenie Bir Tawil właśnie ogłoszono powstanie Królestwa Żółtej Góry. Nie wiadomo, kto jest królem, pokazała się tylko premier Nadera Awad Nassif. Z jej nagranego w Odessie exposé wynika, że nowe państwo ma być islamską monarchią konstytucyjną i schronieniem dla wszystkich prześladowanych, zwłaszcza uchodźców, migrantów i bezpaństwowców. Niejasności wokół szlachetnie brzmiącej inicjatywy napędzają domysły, czy przypadkiem nie chodzi o wykrojenie miejsca dla Palestyńczyków albo element planu pokojowego dla Bliskiego Wschodu przygotowywanego przez obecnego prezydenta USA.

Królestwo Żółtej Góry nie jest tam pierwsze. Amerykanin Jeremiah Heaton twierdzi, że w 2014 r. wbił w piach Bir Tawilu flagę Królestwa Północnego Sudanu, mającego być prezentem na siódme urodziny córki, która chciała zostać księżniczką. Rok później flagę Rosji postawił tam podróżnik Dmitrij Życharijew, a w 2017 r. flagę Królestwa Dixit rozpostarł Suyash Dixit, indyjski przedsiębiorca z branży IT. Nasuwają się dwa pytania. Skąd tyle feudalnych tęsknot? I kiedy grających o tron pogodzi ktoś z ideą równościowej republiki?

Powrót Kurza

Austriacka Partia Ludowa Sebastiana Kurza wygrywa wybory parlamentarne.



Zwycięstwo 33-letniego **Sebastiana Kurza** i jego turkusowej Partii Ludowej nie było zaskoczeniem. Kurz zerwał koalicję ze skrajnie prawicową FPÖ w maju, gdy wyszła na jaw afera z Ibizy. Tam w czasie urlopu szef FPÖ, a późniejszy wicekanclerz Hans Christian Strache w czasie ustawionej libacji dał się wciągnąć w nagraną na wideo aferę korupcyjną. Teraz FPÖ już pod nowym przewodniczącym straciła niemal 10 pkt proc. poparcia, otrzymując zaledwie 16 proc. głosów. Natomiast partia Kurza pod hasłem „Chcemy powrotu naszego kanclerza” zgarnęła 37 proc. głosów – o 6 więcej niż w 2017. Drugim beneficjentem upadku FPÖ są Zieloni, którzy wracają do parlamentu z 14-proc. poparciem.

Wszystkie karty trzyma zatem w ręku Kurz. Może wrócić do wielkiej koalicji z socjaldemokracją (22 proc.), ale także łaskawie ciągnąć koalicję z upokorzoną FPÖ. Nie jest też wykluczony eksperyment z Zielonymi. Rozmowy koalicyjne będą żmudne, zatem na razie kanclerzem zostanie Brigitte Bierlein – była sędzia Trybunału Konstytucyjnego. W Wiedniu mówi się, że ma szansę w przyszłych wyborach prezydenckich. A co z tego austriackiego gadania wynika dla Europy? Po pierwsze, Austriacy potwierdzili zarysowującą się już w Niemczech tendencję – prawicowej populacji są silni, ale do góry bardziej zdecydowanie idą Zieloni. Po drugie, zmiana pokoleniowa – jak we Francji i Austrii – jest nieunikniona. Także tam, gdzie 70-latkowie zasiadają w Białym Domu czy sterują rządem z tylnego siedzenia partyjnej limuzyny.



Brexit po kryjomu

Boris Johnson przegrał dziewiąte głosowanie, odkąd został premierem. Tym razem opozycja była nieco złośliwa i nie pozwoliła na kilka dni przerwy w obradach w związku z konferencją Partii Konserwatywnej, co było dotychczas zwyczajem. Tych jednak w brytyjskim parlamencie uchowało się już niewiele. Kilka dni wcześniej sąd najwyższy uznał, że decyzja premiera o najdłuższym w historii zawieszeniu parlamentu była nielegalna, i następnego dnia posłowie wrócili do Westminsteru. Johnson specjalnie nawet nie ukrywał, że to zawieszenie było mu potrzebne, aby parlament przestał się mieszać w negocjacje brexitowe. Bo te – mimo wątpliwości – jednak się toczą.

Na dziś obiektem rozmów jest zmiana definicji tzw. backstopu w umowie wyjściowej. Chodzi o rozwiązanie, które po brexicie gwarantowałoby brak fizycznej granicy dzielącej wyspę Irlandię. Johnsonowi zależy, aby backstop objął nie całe Zjednoczone Królestwo, jak w obecnym dokumencie, ale tylko Irlandię Północną. W efekcie ta część Królestwa stałaby się specjalną strefą ekonomiczną, zarządzaną jednocześnie z Londynu i z Brukseli. Taka opcja jest dziś możliwa głównie dzięki zgodzie Ulsteru, który woli już być kondominium niż największą ofiarą brexitu bez umowy.

Czy do niego dojdzie, przekonamy się wkrótce. Parlament zobowiązał premiera do wystąpienia o przełożenie daty brexitu, jeśli do 17 października nie uda się zatwierdzić umowy wyjściowej. Johnson twierdzi przewrotnie, że nie wystąpi o takie przesunięcie terminu, choć zastosuje się do decyzji parlamentu. Jak tego dokona? Dziennikarze spekulują, że w awaryjnej sytuacji premier zobliguje któregoś z urzędników do napisania prośby o przełożenie. Ale decyzję w tej sprawie podejmie Rada Europejska na zamkniętym posiedzeniu. Tam Johnson może poprosić kolegów premierów o nieprzekładanie. I żaden poseł nie złapie go za rękę.

Więcej o brexicie i Polakach na Wyspach s. 48.

Pancerny

ANNA DĄBROWSKA

Na początku września, w Krynicy, Marian Banaś, wyjmując z kieszeni marynarki różaniec, opowiadał, jak ważna jest w jego życiu wiara w Boga. „Różaniec mam zawsze przy sobie, to jest mój stróż, który daje mi spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jeśli ktoś na serio wiarę traktuje, to nie powinien się niczego bać, tylko Pana Boga” – deklarował.

W

„Superwizjerze” TVN cała Polska zobaczyła, jak człowiek ze złotym łańcuchem na szyi, z okazałymi sygnetami na każdym palcu, ubrany w dres, zadzwonił do Mariana Banasia i poskarżył się na dziennikarzy, którzy zakłócają mu spokój. Dawid O., pasierb Janusza K. (pseudonim Paolo), od 2014 r. prowadził hotelik na godziny w kamienicy należącej do Mariana Banasia. Dziennikarze „Superwizjera” ustalili, że Janusz K.

i jego brat Wiesław są znanymi w Krakowie „organizatorami” agencji towarzyskich. Janusz K. ma swoją kamienicę, oddaloną od tej Banasia o niecałe 150 m, w której też wynajmuje pokoje na godziny. Bracia w 2005 r. brali udział w głośnych porachunkach ulicznych półświatka sutenerskiego (z użyciem maczet i pałek) na krakowskim Kazimierzu. Obaj dobrowolnie poddali się karze: Janusz K. dostał rok i sześć miesięcy więzienia, a Wiesław K. – dwa lata. Dziś trudno ustalić, jaka dokładnie była ich rola w tamtej bójce. Janusz Hnatko z krakowskiej prokuratury informuje, że „akta w tej sprawie zostały wybrakowane”.

Dlaczego szef najważniejszych instytucji państwowych – szef KAS, MF, NIK – nazywany Pancernym Marianem, robił interesy z ludźmi o takiej reputacji? (Jedni twierdzą, że zawdzięcza przydomek walce z mafią watońskimi, inni – że czarnemu pasowi w karate). Wystarczy przecież rzut oka na zarządzającego hotelem, którego Banaś widywał w swojej kamienicy, czy pobieżne przejrzanie opinii o hoteliku, aby pojąć, czym ten biznes jest. Nie trzeba czekać na przeciągające się ustalenia CBA, aby wydać w tej sprawie moralny werdykt.

Manewry podatkowe

Majątek Mariana Banasia CBA prześwietlało od prawie roku. Z nieoficjalnych doniesień wynikało, że to skonfliktowani z nim celnicy wzięli pod lupę dobytek szefa, a o swoich wątpliwościach donieśli do CBA. Banaś, tworząc Krajową Administrację Skarbową, wprowadził restrykcyjne przepisy, które pozwalają karać pięcioma latami więzienia funkcjonariuszy celno-skarbowych za podanie nieprawdy w oświadczeniach majątkowych. – *Nas chce karać nawet za drobne pomyłki, a sam ma kłopot ze swoimi oświadczeniami. Do tego jeszcze wbrew wcześniejszym zapowiedziom nie wprowadził obowiązku publikacji oświadczeń np. szefa KAS, czyli swojego. Coś tu śmierdziało na kilometr* – mówi jeden z funkcjonariuszy.

Nie ma tygodnia, aby PiS nie chwalił się walką z tymi, którzy okradają budżet państwa, stosując m.in. optymalizację podatkową. Jarosław Kaczyński z dumą powtarza, że wprowadzili przepisy, które wyłapują takie przekręty. Nad aparatem kontrolnym czuwał Banaś. Teraz okazało się, że on sam prowadził wątpliwe manewry podatkowe.

W dokumentach majątkowych podpisanych przez Banasia jest spore zamieszanie. Zaraz po wygranych przez PiS wyborach, obejmując tekę wiceministra finansów w listopadzie 2015 r., wpisał do nich działkę o powierzchni 380 m kw. Rok później działka rozrosła się ponaddziesięciokrotnie – do 3600 m kw. On sam tłumaczy to błędem. Z informacji, do których dotarliśmy, wynika, że to nie puchnąca działka, ale kamienica jest na celowniku służb. Kłopotów ze swoim oświadczeniem prezes NIK ma o wiele więcej. Nie ujawnił, że w 2016 r. do księgi wieczystej nieruchomości wpisano hipotekę do wysokości 2,6 mln – jako zabezpieczenie spłaty kredytu udzielonego firmie juniora Banasia przez kontrolowany przez państwo Bank Ochrony Środowiska.

Jeszcze większe wątpliwości budzi fakt, że z wynajmu 400-metrowej kamienicy na krakowskim Podgórzu Banaś osiągał tak mały dochód – zgodnie z oświadczeniem z 2015 r. zaledwie 40 tys. zł

rocznie (miesięcznie 3,3 tys. zł). Lekko licząc, inkasował zaledwie jedną trzecią ceny rynkowej za wynajem kamienicy w tej okolicy. W oświadczeniu majątkowym za zeszły rok napisał, że na wynajmie kamienicy oraz dwóch mieszkań (71 i 40 m kw.) zarobił niecałe 6 tys. miesięcznie. Wygląda to na niemal charytatywną działalność wynajmu mieszkań. Banaś tłumaczy w rządowych mediach, które nie zadają mu trudnych pytań, że dogadał się z najemcą, iż ten odkupi od niego kamienicę, a niski czynsz odbije sobie w transakcji ostatecznej sprzedaży.

Ponieważ Banaś był właścicielem kamienicy dłużej niż pięć lat, a wtedy przy sprzedaży nie obowiązuje już podatek dochodowy. Sporo zaoszczędził też na podatku od zaniżonej ceny wynajmu. Ale ostatecznie prezes NIK nie odbije sobie strat za niższy czynsz, bo – jak sam tłumaczy – pasierb Janusza K. kredytu na sfinalizowanie transakcji nie dostał. „No to trudno, to jest moja strata. Być może straciłem kilkaset tysięcy, ale tak to czasem bywa na świecie. Ja nie przywiązywałem od tego większej wagi” – tłumaczył w prawniczym radiu Wnet. Banaś tym samym przyznał się do tego, że w umowie najmu kamienicy nie zapisał, pod jakimi warunkami zaniża czynsz. Doradcy podatkowi nie mają wątpliwości, że skarbowka z urzędu powinna wyjaśnić, czy w związku z odroczeniem zapłaty, na którą umówił się z Dawidem O., nie doszło do obejścia prawa i unikania zapłaty podatku we właściwej wysokości i terminie. Jeśli kwota niezapłaconej należności podatkowej przekracza 11 tys. zł (a tu zapewne przekracza), to traktowane jest jako przestępstwo podatkowe.

Skąd się wzięła ta kamienica?

Słynna dziś kamienica przy Alei Krasickiego 24 w Krakowie przed wojną należała do rodziny dr. Kazimierza Putka. To prawnik, który swą karierę w II RP związał z wojskiem. W czasie okupacji został komendantem Podokręgu Rzeszów Armii Krajowej. Siedział we Wronkach, potem w Rawiczu i Warszawie. Po zwolnieniu wrócił do Krakowa, gdzie zmarł w 1949 r. Być może wtedy dom przejęła rodzina Stachowskich – Henryk Stachowski był również żołnierzem Kedywu Armii Krajowej. I również po wojnie siedział: we wrześniu 1945 r. Wojskowy Sąd Okręgu Krakowskiego skazał go z tzw. dekretu o ochronie państwa na pięć lat więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych. Akt oskarżenia nie dotyczył jednak, przynajmniej formalnie, przestępstw związanych z walką z nową władzą. Jako powód skazania podano bowiem: „Kto w czasie wojny zabiera innej osobie cudze mienie ruchome w celu przywłaszczenia używając przemocy albo grożąc użyciem natychmiastowego gwałtu na osobie albo doprowadzając człowieka do stanu nieprzytomności lub bezbronności”. Oczywiście pod ten zarzut można było wtedy podciągnąć rozmaite czyny – od zwyczajnie kryminalnych po polityczne.

W każdym razie na mocy amnestii umorzono wobec niego postępowanie o czyny z czysto już politycznego art. 1 dekretu („kto zakłada związek mający na celu obalenie demokratycznego ustroju państwa albo kto w takim związku bierze udział”). Tak czy tak Henryk Stachowski odsiedział dwa i pół roku. A w 1999 r. wystąpił o odszkodowanie, w efekcie czego sąd wolnej Polski uznał ów wyrok za nieważny.

To z Henrykiem Stachowskim – wedle księgi wieczystej domu – Marian Banaś w 2001 r. miał zawrzeć umowę o tzw. dożywocie. W jej ramach w zamian za 242-metrową działkę z kamienicą o powierzchni użytkowej ok. 400 m kw. zobowiązał się do sprawowania nad nim dożywotniej opieki i zorganizowania pogrzebu.

Henryk Stachowski spoczął w rodzinnym grobowcu na cmentarzu Podgórskim w 2007 r. Wcześniej w mogile pochowani zostali inni członkowie rodziny. Data urodzin Henryka jest wygrawerowana, śmierci zaś domalowana, co może świadczyć o tym, że to on – jako faktycznie ostatni z rodu – zbudował nagrobek rodzinny ►